

POLEMIKI

PLAN DLA EUROOPY CZY DLA POLSKI?

W numerze styczniowo-lutowym "Foreign Affairs" ukazał się artykuł Zbigniewa Brzezińskiego "Plan dla Europy" ("A Plan for Europe"), który następnie przedrukowany został przez krajowy tygodnik "Polityka" oraz "Dziennik Chicagowski".

Brzeziński dołączył w artykule do coraz głośniejszego chóru w USA, żeby NATO rozszerzyć na wschód, a zwłaszcza przyjąć w jego szeregi Polskę. Henry Kissinger wypowiedział się podobnie w "Washington Post" 19 grudnia ub. r., nie mówiąc już o wcześniej podjętych i powszechnie znanych inicjatywach USA na forum NATO.

Ale zawsze to milej słuchać, gdy amerykański polityk i politolog polskiego pochodzenia wypowiada się za przyjęciem Polski do Sojuszu.

Zostawmy jednak dusery na inną okazję, a natomiast przyjrzyjmy się uważniej artykułowi Brzezińskiego, który w Polakach obudził tyle nadziei.

Na samym wstępie chciałbym podkreślić, że jestem, jak zawsze, zwolennikiem pełnego członkostwa Polski w NATO, Unii Europejskiej i Unii Zachodnio-Europejskiej (zbrojnej odnodze Unii Europejskiej).

Co innego jednak chcieć, a co innego móc. A w ogóle, jak choćby wskazuje to sam

Artykuł Zbigniewa Brzezińskiego opublikowany w Foreign Affairs "A Plan for Europe" jest jedną z najważniejszych publikacji w Stanach Zjednoczonych dotyczących polityki USA w Europie. Poglądy Brzezińskiego na pewno odzwierciedlają zapatrywania czołówki politycznej USA. Można się było spodziewać, że artykuł ten wywoła ożywioną dyskusję w Polsce, zwłaszcza, że opcje przyjęte przez Brzezińskiego są w wielu miejscach mętne i niejasne i wcale nie muszą okazać się korzystne dla Polski.

W Polsce, artykuł przeszedł bez echa, krajowych publicystów, pochłoniętych walkami personalnymi nie interesują jak widać tak zasadnicze kwestie.

Polemikę z Brzezińskim podjął prof. dr Zdzisław Rurarz, były ambasador Polski w Japonii, obecnie mieszkający w USA. Tekst Rurarza punktuje wszystkie słabe strony Brzezińskiego i jak nam się wydaje doskonale oddaje polskie niepokoje związane z uczestnictwem w zachodnich strukturach politycznych i wojskowych.

powiedział też, że władze polskie nie chcą w końcu ani członkostwa w NATO, ani w Unii Europejskiej, a kandydata na ministra obrony narodowej, prof. Longina Pastusiaka, nazwał nawet wrogiem NATO (Pastusiak, którego znam, mówi z kolei, że kiedyś nim był, ale teraz już nie jest).

Krótko mówiąc, Olechowski wywalił przysłowiową kawę na ławę. Dodajmy też, że fakt nieobsadzenia stanowiska ministra obrony narodowej od 10 listopada ubr. do 22 stycznia br. tj. do momentu pisania niniejszego artykułu, też o czymś świadczy. W końcu kto ma zabiegać najwięcej wokół pełnego członkostwa Polski w NATO jak nie szef MON?

Co więcej, słusznie czy niesłusznie, Olechowski miał reputację prozachodnią. Teraz nie wiadomo kto będzie jego następcą i czy będzie on miał, czy też udawał, poglądy identyczne jak poprzednik.

O innych sprawach, które mogą być decydujące dla członkostwa Polski w NATO, już nawet nie mówię. Olechowski na odchodne powiedział też, że Polska stała się ostatnio pośmiewiskiem na Zachodzie, na razie dziennikarzy, ale wkrótce dołączą do nich i politycy.

RED.

Zostawmy jednak dusery na inną okazję, a natomiast przyjrzyjmy się uważniej artykułowi Brzezińskiego, który w Polakach obudził tyle nadziei.

Na samym wstępie chciałbym podkreślić, że jestem, jak zawsze, zwolennikiem pełnego członkostwa Polski w NATO, Unii Europejskiej i Unii Zachodnio-Europejskiej (zbrojnej odnodze Unii Europejskiej).

Co innego jednak chcieć, a co innego móc. A w ogóle, jak choćby wskazuje to sam tytuł artykułu, Brzeziński nie ma żadnego "planu" dla Polski, ale tylko dla Europy, gdzie "sprawa polska" jest tylko pochodną spraw nawet nie tylko Europy, a światowych.

No cóż, o to akurat nie można mieć pretensji do Brzezińskiego. Sama bowiem "sprawa polska" nikogo w świecie, poza samymi Polakami, nie interesuje przecież. Zresztą, tak było też w przeszłości. Jeszcze jako tako "sprawa polska" zaprzętała umysły zwycięskiej Ententy po I wojnie światowej, potem Wielkiej Trójki w czasie II wojny światowej, a potem już właściwie nikt się nią nie przejmował. Prawda, Polska coś tam od czasu do czasu "rozrabiała", ale było to o wiele za mało, żeby wielkie mocarstwa, zwłaszcza dwa supermocarstwa, gotowe były rzucić się na siebie w imię jej interesów.

Stąd też Brzeziński, w swoim 16-stronicowym artykule, "sprawę polską" traktuje nie priorytetowo, a w kontekście innych spraw. Po raz pierwszy wspomina o Polsce, podobnie jak o Republice Czeskiej, Węgrzech i Słowacji, jako o możliwych członkach NATO. Po raz drugi wspomina o niej, podobnie jak o pozostałej trójce, że mogłaby ona wejść do NATO już w latach 1996-98, a już najpóźniej przed końcem bieżącego dziesięciolecia. Po raz trzeci wspomina o Polsce w kontekście "mechanizmu konsultacyjnego" złożonego z ośmiu krajów, do którego powinna wchodzić. I wreszcie, po raz czwarty, już na końcu, wypowiada się pozytywnie na temat jakiejś osi Francja-Niemcy-Polska.

były ambasador Polski w Japonii, obecnie mieszkający w USA. Tekst Rurarza punktuje wszystkie słabe strony Brzezińskiego i jak nam się wydaje doskonale oddaje polskie niepokoje związane z uczestnictwem w zachodnich strukturach politycznych i wojskowych.

W sumie więc, "sprawa polska" jest w artykule podporządkowana innym, ważniejszym problemom. A cóż to są za problemy?

Ano, jak sam to pisze, są nimi:

- 1/ zakres sojuszu euroatlantyckiego;
- 2/ rola Niemiec w postzimnowojennej Europie
- 3/ stosunki Europy i NATO z Rosją.

Jak widać, te trzy sprawy są niebagatelne. Warto może też dodać, że w tym samym numerze "Foreign Affairs" ukazał się artykuł autorstwa francusko-niemieckiego, z którego jasno wynika, że ich rozwiązanie, jeśli w ogóle istnieje, jest zadaniem nie lada, wręcz degradującym "sprawę polską". Co więcej, wspomniani autorzy wyjątkowo mętnie wypowiadają się w sprawach Europy Środkowo-Wschodniej, podobnie jak w sprawach Rosji i innych krajów b. ZSRR. Dobrze zatem, że Brzeziński wypowiada się o nich znacznie wyraźniej, choć o Rosji wypowiada się bardzo mętnie, a już zupełnie nierealistycznie o Ukrainie. Siłą rzeczy więc, Polska gubi się wśród innych spraw i dopiero ich pomyślne rozwiązanie może jej sprawy wprowadzić kiedyś na porządek dzienny spraw rozwiązywanych przez wielkie mocarstwa, a zwłaszcza USA i Rosję.

Co więcej, wszelkie dywagacje Brzezińskiego na temat polskiego członkostwa w NATO, choć nawet ciekawe, cierpią na jeden poważny mankament.

Konkretnie mówiąc, Brzeziński zakłada jako pewnik, że Polska o niczym innym nie

myśli tylko o członkostwie w NATO. Zgoda, większość ludzi w Polsce szczerze nawet pragnie takiego członkostwa, podobnie jak Polonia, ale z tego jeszcze nic nie wynika. To nic, że premier Pawlak ostatnio znów mówi, że priorytetem polskiej polityki zagranicznej jest członkostwo w NATO i Unii Europejskiej, a prezydent Wałęsa straszy, że w razie konieczności zwróci się do narodu, aby wypowiedział się w referendum na temat tego członkostwa.

No cóż, nie od dziś wiadomo, że w polityce, a zwłaszcza w dyplomacji, co innego się mówi, a co innego się robi.

Powracając jednak do determinacji Polski zostania pełnym członkiem NATO, to pomijając już wcześniejszy okres, kiedy to jej władze bardzo mętnie wypowiadały się w tej sprawie, nowsze wydarzenia mętność ową tylko pogłębiają.

Tak na przykład, w swojej wypowiedzi dla "Gazety Wyborczej" z 19 stycznia br., Andrzej Olechowski, który w dniu 13 stycznia zrezygnował z funkcji ministra spraw zagranicznych, powiedział w omawianej sprawie aż nadto wiele. Powiedział po prostu, że w rządzie i Polsce są ludzie, którzy miejsce kraju widzą na Wschodzie i którzy zwyczajnie mają "wywiadowcze powiązania z Rosją"!

Nie wchodzimy już w to dlaczego Olechowski, b. oficer kadrowy wywiadu MSW, tak akurat powiedział, ale niewątpliwie powiedział prawdę. Zawsze myślałem tak samo i Olechowski to tylko potwierdził, a dlaczego tak uczynił, to już nie ma większego znaczenia. Olechowski zresztą, nie tylko dla "GW"

Teraz nie wiadomo kto będzie jego następcą i czy będzie on miał, czy też udawał, poglądy identyczne jak poprzednik.

O innych sprawach, które mogą być decydujące dla członkostwa Polski w NATO, już nawet nie mówię. Olechowski na odchodne powiedział też, że Polska stała się ostatnio pośmiewiskiem na Zachodzie, na razie dziennikarzy, ale wkrótce dołączą do nich i politycy.

Niestety, jest to smutna prawda. Występy prezydenta Wałęsy, premiera Pawlaka i wielu innych "świecznikowych" postaci w Polsce są wręcz gorszące i nie tylko stawiające pod znakiem zapytania polską demokrację, ale zwyczajnie godną Europy cywilizację...

Dlatego też rozprawianie przez Brzezińskiego o polskim członkostwie w NATO jako o pewniku ze strony samego zainteresowanego, jest co najmniej dyskusyjne.

Co gorsza, nawet Brzeziński mówi o członkostwie jako o sprawie najbliższych 2-5 lat, czyli o perspektywie raczej nie na jutro. Nie trzeba też chyba dodawać, że w okresie dwóch lat, nie mówiąc już o pięciu, wiele może dzieć się w Polsce, wokół niej i dalej w świecie, co może omawiane członkostwo całkowicie zdezaktualizować.

Przed wszystkim nikt dzisiaj nie wie co się stanie z samym NATO, podobnie jak z Unią Europejską i Unią Zachodnio-Europejską. Może być bowiem i tak, że naprawdę nie będzie do czego wstępować, albo korzyści z takiego wstąpienia będą żadne, czy też dalekie od oczekiwanych.

Po drugie, nie wiadomo też jak dalej wyglądać będą losy samych Niemiec, które słusznie niepokoją Brzezińskiego, jak też wspomnianych autorów francusko-niemieckich.

A przecież Polska nie dostanie się ani do NATO, ani tym bardziej do obu Unii, jeśli sytuacja w Niemczech rozwinie się inaczej, niż to się teraz wydaje. Zresztą, gdyby nie stanowisko Rudolfa Scharpinga, przywódcy

RED.

POLEMIKI

niemieckiej socjaldemokracji, a raczej jej prawego skrzydła, to wynik wyborów z października ub. roku byłby inny od znanego. Kohl mógł wybory przegrać, a zwycięska lewica, tj. socjaldemokraci, komuniści z PDS i "zieloni", której sfośunek do NATO i obu Unii jest chłodny, mogłaby położyć kres polskim wysiłkom (jeśli takie mają miejsce) dostania się do wspomnianych instytucji.

Po trzecie wreszcie, nikt jeszcze dotąd na Zachodzie, a do nich należy też Brzeziński, nie znalazł sposobu na znalezienie wspólnego języka z Moskwą. I nie dziwota. Nikt bowiem nie rozumie języka Moskwy, albo rozumie go na opak...

Tak czy inaczej, dopiero po wyjaśnieniu się owych trzech niewiadomych można serio mówić o członkostwie Polski w NATO, a także obu Uniach.

Ale to jeszcze nie wszystko.

O ile zgadzam się z Brzezińskim, że członkostwo Polski w NATO powinno wyprzedzić członkostwo w Uniach, jako że z różnych względów jest to zadanie łatwiejsze, to jednakże kategorię sprzeciw Moskwy wobec takiego członkostwa jest sprawą zbyt poważną, żeby przejść nad nią do porządku dziennego. Można oczywiście opowiadać, że Moskwa nie powinna mieć prawa weta w sprawie rozszerzania się NATO na wschód, ale niemniej jednak ze stanowiskiem Moskwy trzeba się poważnie liczyć.

Dlatego też sprawie tej trzeba poświęcić szczególną uwagę.

Otóż sens polskiego członkostwa w NATO sprowadza się do uzyskania gwarancji zewnętrznych co do zachowania suwerenności kraju. Suwerenność ta, choć nikt tego otwarcie nie mówi, może być realnie zagrożona tylko przez Rosję, a ewentualnie także przez Ukrainę i Białoruś, choć zapewne wyłącznie w zmwowie z Rosją.

Niemcy, czy NATO się ostanie czy nie,

TO, albo jeszcze bardziej pragnie dwustronnego układu sojuszniczego z USA, to w każdym wypadku musi to być bardzo szybko załatwione. Moskwie nie można zostawić czasu na żadne sprzeciwy. Może być bowiem i tak, że nawet w najlepszym przypadku sprawa potrwa wiele miesięcy, a wtedy Moskwa może się posunąć nawet do agresji zbrojnej, której Polska własnymi siłami nie odeprze, podczas gdy sojusznicy "in spe" z pomocą też jej nie pospieszą, jako że względy formalne na to nie pozwolą (układ o członkostwie z NATO musi być ratyfikowany przez parlamenty szesnastu krajów członkowskich dla uzyskania swojej ważności. Podobnie układ dwustronny USA musi być ratyfikowany przez Kongres).

Krótko mówiąc, łatwiej byłoby Polsce przeprowadzić supertajne rozmowy wojsko-polityczne tylko z USA, które w NATO liczą się najwięcej, niż ze wszystkimi jego członkami.

Co więcej, rozmowy takie, w przypadku osiągnięcia porozumienia, musiałyby jednakże być, choć doprawdy trudno w to uwierzyć, jakby pozakonstytucyjne, czyli z góry zakładające, że osiągnięte porozumienie wchodzi w życie w momencie jego podpisania, a nie ratyfikacji przez Kongres. Rosja bowiem, mówiąc obrazowo, musiałaby być porozumieniem zaskoczona, wiedząc jednocześnie, że jakakolwiek jej kontrakcja zbrojna przeciwko Polsce spotka się z natychmiastową i zbrojną reakcją USA.

No cóż, nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że USA na tego rodzaju pozakonstytucyjne rozwiązanie nie pójdą, a wprowadzenie sprawy na forum Kongresu nie tylko uczyni ją jawną, ale w dodatku niepewną co do pomyślnego końca. Nawet w najlepszym wypadku, Kongres może wałkować sprawę miesiącami, jeśli nie latami.

Co gorsza, nigdy w historii USA sprawa

tych gwarancji miało nastąpić w wyniku wizyty Becka w Londynie, gdzie udał się on pociągiem, via Berlin, już 2 kwietnia 1939 r. W Londynie okazało się jednak, że chamberlainowskie gwarancje nie przybrały formy sformalizowanego sojuszu, co jak wiadomo nastąpiło dopiero 25 sierpnia 1939 r., już po pakcie Ribbentrop-Mołotow zawartego dwa dni wcześniej. Układ bowiem z 6 kwietnia 1939 r. pomiędzy Polską a Anglią, choć był niespodzianką dla Hitlera, nie szedł jeszcze dostatecznie daleko.

Jednakże sam fakt rozmów polsko-brytyjskich przyspieszył decyzję Hitlera zaatakowania Polski. W wielkim pośpiechu, już 3 kwietnia 1939 r., a więc kiedy Beck był w Londynie, Hitler wydał dyrektywę "Fall Weiss", która już na dobre rozpoczęła przygotowania do agresji na Polskę. Możliwe, że bez deklaracji Chamberlaina i rozmów Becka w Londynie też doszłoby do agresji niemieckiej, ale faktem jest, że oba te wydarzenia rozwścieczyły Hitlera i pchnęły go do wspomnianej dyrektywy.

Historia sprzed ponad pół wieku może się więc powtórzyć, z tą tylko różnicą, że od dyrektywy do agresji tym razem nie potrzeba byłoby aż prawie pięciu miesięcy. Uderzenie, może nawet nuklearne, mogłoby nastąpić w ciągu godzin, jeśli wręcz nie minut... Skoro Rosja bombarduje własne parlamenty i miasta, to dlaczego ma oszczędzać polskie? Nawet Hitler miał jakieś skrupuły co do unicestwienia swoich współplemieńców, czy czasem i obcych narodów. Moskwa ich raczej nie miewała...

Ale po co mówić o skrajnych rozwiązaniach. Moskwa wcale nie musi, choć może, obracać Polski w perzynę. Jeśli prawdą jest to co mówi Olechowski, to Moskwa ma pełno swoich agentów w łonie władz polskich, a nawet opozycji, których może wykorzystać do różnych operacji nie mieszczących się

Może one kiedyś nadejdą, a wtedy Polsce uda się zachować swoją suwerenność nawet bez wchodzenia do NATO i obu Unii.

Co więcej, obecna sytuacja, sytuacja "szarej strefy", albo "próżni strategicznej", gdzie pomiędzy NATO a WNP, Rosją głównie, jest obszar z Polską włącznie, któremu nikt suwerenności nie gwarantuje, jest co prawda zła, ale nie jest jednak najgorsza. Wojsk rosyjskich w Polsce nie ma, w Niemczech, Czechach i Słowacji też ich nie ma, a sama Rosja udaje demokrację.

Jest więc lepiej niż było. Zgoda, powinno być jeszcze lepiej, ale też trzeba uważać, żeby nie przedobrzyć i żeby lekarstwo nie było groźniejsze od samej choroby!

Na zakończenie jeszcze parę refleksji.

Otóż osobiście dziwi mnie, że idea rozszerzania się NATO na wschód stała się ostatnio w USA tak modna (w innych krajach NATO mody takiej nie ma). Skoro tak, to musi być w tym jakiś głębszy sens. Stosunki USA z Rosją, a stosunki z nią NATO czy Europy Zachodniej są tu pochodną, wchodzi w nowy etap. Świadczą o tym choćby styczniowe rozmowy Christopher-Kozyriew w Genewie, których treść jest poufna.

Trzeba jednak wiedzieć, że zawsze w takich rozmowach strony wychodzą z maksymalistycznych pozycji, żeby było potem z czego ustępować dla osiągnięcia kompromisu.

W każdym razie, co zresztą już znalazło oddźwięk w komentarzach zachodnio-europejskich, może się zdarzyć i tak, że wspomniane rozmowy ustalą na nowo, albo tylko zafiksują, obecny stan rzeczy w dziedzinie wzajemnych sfer wpływów. Nie jest pewne czy Polskę będzie ktoś tu pytał o zdanie...

Konkretnie mówiąc, w co osobiście wierzę, dogodny okres dla polskiego członko-

W Moskwie trzeba się poważnie liczyć.

Dlatego też sprawie tej trzeba poświęcić szczególną uwagę.

Otóż sens polskiego członkostwa w NATO sprowadza się do uzyskania gwarancji zewnętrznych co do zachowania suwerenności kraju. Suwerenność ta, choć nikt tego otwarcie nie mówi, może być realnie zagrożona tylko przez Rosję, a ewentualnie także przez Ukrainę i Białoruś, choć zapewne wyłącznie w zмовie z Rosją.

Niemcy, czy NATO się ostanie czy nie, nie zagrażają suwerenności Polski w najbliższych latach, a w każdym razie nie drogą agresji zbrojnej.

Pozostaje jednak sprawa Rosji. Nie trzeba chyba dodawać, że jest to supermocarstwo nuklearne i Polska, siłą rzeczy, w obronie przed takim potencjalnym agresorem musiałaby szukać wsparcia u innego supermocarstwa nuklearnego, tj. konkretnie USA. Prawda, potencjał nuklearny Francji i Anglii jest już znaczny i może się zwiększać w przyszłości, ale oba kraje są przysłowiową pestką wobec Rosji.

Innymi słowy mówiąc, Polska ratunku musi szukać nie tak w członkostwie w NATO, jak w sojuszu z USA. Oczywiście, w pewnym sensie można go dobić pośrednio via członkostwo w NATO, ale jest to sprawa mniej pewna. Lepiej byłoby mieć bezpośrednio gwarancje bezpieczeństwa ze strony USA, jak to ma miejsce w przypadku Japonii, Korei Południowej, czy Izraela.

Niestety, o żadnym sojuszu dwustronnym i takich gwarancjach ani Brzeziński, ani nikt inny w USA, nie wspomina nawet, a bez tego sprawa bezpieczeństwa Polski jest wręcz bezprzedmiotowa.

Dlaczego? Czy nie można cierpliwie czekać na pełne członkostwo w NATO i tym samym pośrednie gwarancje bezpieczeństwa ze strony USA?

Ano, nie można, jako że czynnik czasu jest tu decydujący. Zakładając bowiem, że Polska chce istotnie zostać członkiem NA-

cznie, że jakkolwiek jej kontrakcja zbrojna przeciwko Polsce spotka się z natychmiastową i zbrojną reakcją USA.

No cóż, nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że USA na tego rodzaju pozakonstytucyjne rozwiązanie nie pójdą, a wprowadzenie sprawy na forum Kongresu nie tylko uczyni ją jawną, ale w dodatku niepewną co do pomyślnego końca. Nawet w najlepszym wypadku, Kongres może wałkować sprawę miesiącami, jeśli nie latami.

Co gorsza, nigdy w historii USA sprawa Polski nie była dla nich sprawą godną ryzyka wojny i nic nie wskazuje na to, że teraz jest inaczej.

Ale założmy, że jest inaczej i że administracja amerykańska znalazła nawet sposób na obejście Konstytucji i gotowa jest zawrzeć sojusz z rządem polskim i to z ważnością od momentu złożenia pod nim podpisu. Jednakże nawet i tego rodzaju rozwiązanie nie uszłoby uwagi wywiadu rosyjskiego. Jest więcej niż pewne, że przygotowywanie sojuszu polsko-amerykańskiego wywęszyłby on natychmiast, nie tylko w Warszawie, ale może także w Waszyngtonie. Reakcja Moskwy mogłaby być wtedy błyskawiczna. Przypomnijmy też, że zgodnie z założeniami rosyjskiej doktryny wojennej z 3 listopada 1993 r., Moskwa rezerwuje sobie prawo użycia broni nuklearnej według swojego uznania, czego nawet nie głosił ZSRR.

W tym miejscu warto nawiązać do historii, choć nie zawsze musi się ona powtarzać, ale niemniej jednak (złośliwi twierdzą nawet, że się powtarza wtedy, kiedy jej się nie zna).

Otóż raz już w historii Polski, w 1939 r., miał miejsce epizod godny przypomnienia. Jak wiadomo, w dniu 31 marca 1939 r., premier brytyjski Chamberlain, po uprzednim poinformowaniu o swoim zamiarze rządu polskiego, złożył w Izbie Gmin oświadczenie, które było czymś w rodzaju jednostronnej gwarancji Anglii w odniesieniu do bezpieczeństwa Polski. Bliższe sprecyzowanie

Nawet Hitler miał jakieś skrupuły co do unicestwienia swoich współplemieńców, czy czasem i obcych narodów. Moskwa ich raczej nie miewała...

Ale po co mówić o skrajnych rozwiązaniach. Moskwa wcale nie musi, choć może, obracać Polski w perzynę. Jeśli prawdą jest to co mówi Olechowski, to Moskwa ma pełno swoich agentów w łonie władz polskich, a nawet opozycji, których może wykorzystać do różnych operacji nie mieszczących się w głowie przeciętnego człowieka. Z czarnego zrobi białe i odwrotnie. Polska niby będzie chciała wstąpić do NATO, ale zrobi wszystko, żeby do tego właśnie nie doszło, a jeszcze wyjdzie na to, że winne temu będą USA, Niemcy i jeszcze licho wie kto inny.

Może być też i tak, że zerwie stosunki gospodarcze z Polską, a Rosja jest dziś drugim jej największym partnerem handlowym, co może zachwiać i tak już osłabioną gospodarkę. Może też posunąć się do katów terroru na terenie Polski, nie wyłączając nawet broni masowej zagłady, może stworzyć napięcie na granicy Polski z WNP, szczególnie Ukrainą i Białorusią, a nawet "suwerenną" Litwą, jak też wywołać rozruchy mniejszości ukraińskiej, białoruskiej, litewskiej, czy nawet niemieckiej. Może też zorganizować parę wystąpień antysemitów, które pójdą na konto Polaków, a Zachód, USA głównie, odstraszą od nich wtedy skutecznie.

No i wreszcie, a może nawet przede wszystkim, Moskwa może zacząć mówić, że polskie ziemie zachodnie i północne są wynikiem błędów w polityce Stalina i że powinny one powrócić do Rzeszy. Niemcy, miejmy nadzieję, mogą na razie nie wyciągnąć z tego wniosków praktycznych, ale zasiane ziarno utkwi im w głowach i kto wie kiedy ono zakiełkuje...

Stąd też, jeśli nikt na Zachodzie nie myśli serio o ryzykowaniu wojny o Polskę, a sama Polska też nie bardzo kwapi się z wejściem do NATO i Unii Europejskich, to lepiej sprawę odłożyć do lepszych czasów.

z czego ustępować dla osiągnięcia kompromisu.

W każdym razie, co zresztą już znalazło oddźwięk w komentarzach zachodnio-europejskich, może się zdarzyć i tak, że wspomniane rozmowy ustalą na nowo, albo tylko zafiksują, obecny stan rzeczy w dziedzinie wzajemnych sfer wpływów. Nie jest pewne czy Polskę będzie ktoś tu pytał o zdanie...

Konkretnie mówiąc, w co ośobiście wierzę, dogodny okres dla polskiego członkostwa w NATO i obu Uniach, jeśli kiedykolwiek istniał, już minął i tylko trzeba to jakoś ogłosić wszem i wobec. Obawiam się nawet, że ostatnie wydarzenia w Polsce już chyba przekonały Zachód, że nie ma on tam wiele do powiedzenia i prawdopodobnie nigdy nie będzie miał, a w każdym razie nie tak szybko. Trzeba więc zrobić parę ruchów pozorowanych, Rosja na nie zareaguje, pewnie wiedząc z góry o co chodzi, a Polska powyglupia się przy okazji i po całym zamieszaniu sprawa ucichnie, czyli powróci do obecnego, czy tam raczej poprzedniego stanu. Innymi słowy, powtórzy się znana historia jedzenia przysłowiowej żaby...

A co się tyczy omawianego artykułu Brzezińskiego, to pod adresem Autora ponawiam propozycję - niech najpierw rozwiąże sprawę sojuszu euroatlantyckiego, potem Niemiec w postzimnowojennej Europie, wreszcie stosunków NATO i Europy z Rosją i jeśli mu się to uda, w co wątpię, to wtedy dopiero zaczniemy ewentualnie myśleć serio o polskim członkostwie w Sojuszu. Wszystko inne będzie już na tyle jasne, że będzie wiadomo co i jak, a Polska uniknie śmiertelnego ryzyka w rozpoczynaniu gry, której nie rozumie i nie prowadzi.

Reasumując, "Plan dla Europy" Brzezińskiego nie jest "Planem dla Polski" i o tym trzeba pamiętać, a nie robić sobie nadziei, że jest inaczej.

Zdzisław M. Rurarz